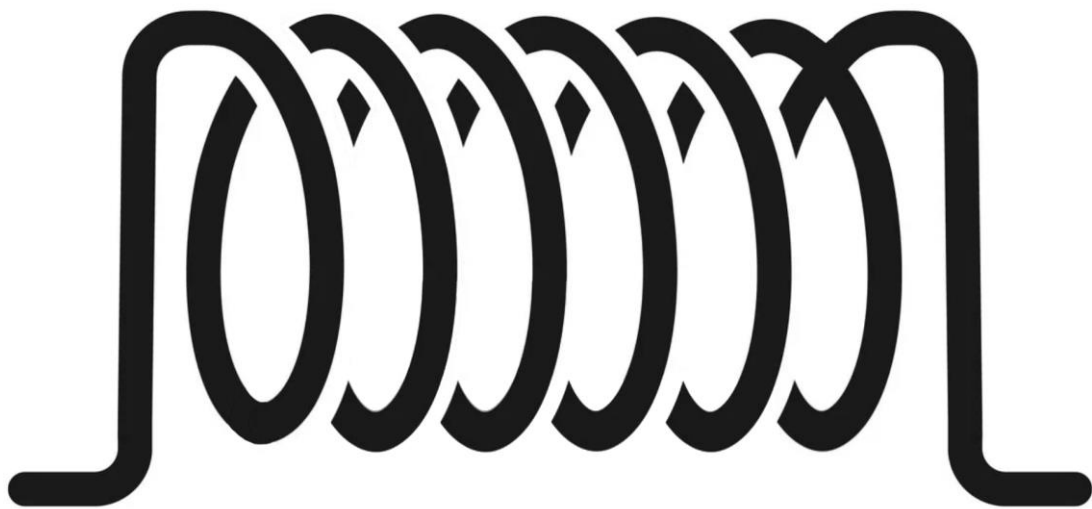


Jarosław Księżyk



KRÓLEWSKA HUTA

Seria: INDUKCJA

[WWW.JAROSLAWKSIEZYK.PL](http://WWW.JAROSLAWKSIEZYK.PL)

## SPIS TREŚCI

---

jeden.....	3
Dwa.....	5
Trzy .....	8
Cztery.....	11
Pięć .....	15
Sześć .....	19





## JEDEN

---

Starszy asystent technika, Paweł po raz kolejny energicznie pociągnął za linkę rozrusznika. Spalinowy agregat prądotwórczy zacharczał, zatrząsnął się, a następnie wypluł z siebie chmurę siwego dymu. Jazgot narastał, a silnik o mało nie wyskoczył ze swojego leża.

- Co to do cholery? – krzyknął Śmiałek, niski mężczyzna o zadziornym spojrzeniu, każący do siebie mówić po nazwisku, pewnie dlatego, że pasowało ono do profesji hazardzisty.

- Musi się rozgrzać! – ryk maszynierii niemal zagłuszył słowa Pawła.

Śmiałek machnął ręką, po czym odpalił papierosa. Z niepokojem patrzył na migoczący w rytm zaników napięcia portal. Metalowa framuga była otoczona kablami i elektroniką, połączonymi z jednostką centralną, leżącą na pobliskim drewnianym stoliku. Całość robiła raczej wrażenie awangardowej choinki niż zaawansowanego urządzenia zdolnego przenosić ludzi w czasie, a jednak nim była.

- Już lepiej – stwierdził Paweł, gdy agregat ustabilizował pracę, schodząc nieco z decybeli. – Mistrzu Macieju! – zawołał.

Maciej właśnie wychodził z kibla, poprawiając szelki i głośno chrząkając. Podszedł do pulpitu sterującego, by po chwili oznajmić.

- Pięknie, że chuj mięknie. Napięcie cycuś, obwody rozgrzane, program załadowany. Kompilator przemilił.

- To chyba dobrze – stwierdził niezbyt przekonany hazardzista. Poklepywał się po licznych kieszeniach džinsów, kurtki i kamizelki, w których schował pasy pełne małych złotych listków. Zgodnie z założeniami, były tak cienkie, że nie wypychały ciuchów.

- To, dokąd lecim? – zagał Maciej.

Śmiałek podszedł do pulpitu sterującego i rzucił mistrzowi przed oczy starą mapę.

- Chodzi o pewną miejscowość przemysłową. Już jej nie ma, znaczy jest częścią metropolii. Z resztą, nieważne – machnął ręką poddenerwowany. Zły na to, że tłumaczy się nie wiadomo przed kim z nie wiadomo czego. – O, tutaj – wskazał na duży czerwony iks.

- Dziwne. Cisnąć się w te czasy. Kobotki pruderyjne, szaro, buro, skąpo, niebezpiecznie. No ale, co ja wiem... Mówił pan, pięćdziesiąty siódmy?

- Tak – przytaknął sucho hazardzista.

Przez następne kilka minut Maciej klepał w klawiaturę, wywijając przy tym językiem. W pewnym momencie wyprostował się i strzelił szelkami.

- Program gotowy! Pawełek, zdejść blokady, rozgrzej portal, no już, szybko.

Śmiałek obserwował chłopaka mocującego się z kilkunastocentymetrowymi bolcami i myślał. Czy dobrze robi? Zasadniczo nie był lękliwy. Profesjonalnemu graczowi to po prostu nie przystawało. To co czuł, należałoby nazwać pewną formą niepokoju. Nie miał jednak w zwyczaju zmieniać raz podjętej decyzji. Nawet jak miał złe przeczucia, jak teraz, to przynigdy nie oddał partii walkowerem.

Portal pozbawiony ograniczników trząsnął się jak galareta, jednak powoli wypełniała go przypominająca rteć masa. I on miał w to wejść! Każde dziecko wiedziało, że podróże w czasie są diabelnie niebezpieczne. Odsetek niewracających był tak wielki, że jakiś czas temu ustawowo zakazano tej formy



turystyki. Zgodę mieli tylko naukowcy, a przecież oni używali kapsuł, chroniących podróżników przed światem zewnętrznym oraz tenże świat przed nimi – uniemożliwiając ingerencję w przeszłość. Tymczasem on miał zaraz wejść w przedpotopowy portal, niemalże muzealny eksponat, zapewne jeden z pierwszych prototypów, jeszcze przed opracowaniem kapsuł.

Uśmiechnął się sam do siebie. Adrenalina przyjemnie szumiała w uszach. Jak grać, to wysoko – powtórzył w myślach swoje motto.

- Dobra, panie Śmiałek, słuchaj mnie pan, bo za dużo będzie do powtarzania! – wyrwał go z przemyśleń Maciej.

- Słucham.

- No! Więc, ten tego. Masz pan tu skafander.

Podał Śmiałkowi powycierany, workowaty kombinezon, przypominający rekwizyt z bardzo starych filmów o podbojach oceanicznych głębin.

– Wkładasz pan go i tylko w nim możesz przeleźć. W drugą stronę też! Mnie nie obchodzi, czy wrócisz pan, czy nie. Zrozumiano?

Hazardzista przytaknął.

- Portal powrotny po trzech godzinach. Tak jakżeśmy mówili. A jeśli nie zdążysz pan, to drugi raz po dwunastu od przejścia. No i powodzenia. Jeśli nie wrócisz pan, to wszystkiego dobrego w nowym życiu. W życiu bez komisji gier i zakładów... - zachichotał mistrz.

Śmiałek spojrzał na niego wrogo, nie wiedząc czy ten żart ma jakieś drugie dno? Co Mistrz wiedział o komisji? Czy znał kogoś z inspektorów? Do diabła! Trudno!

- Zaczynamy – rozkazał, sięgając po hełm.

Paweł poczekał na zgodę mistrza, a następnie podkręcił agregat na wyższe obroty. Lampki na portalu paliły się pełną siłą, a ich poświata odbijała się w oleistej płaszczyźnie portalu.

Śmiałek już miał zrobić pierwszy krok, gdy zatrzymał go Maciej.

- Kurza twarz, nie wszystko powiedziałem. Idź pan po ścianę, tu trzeba wziąć rozbieg. To nie jakiś tam portal z dynamem, tylko klasyk, statyczny. Samemu trzeba sobie nadać rozpędu. No już! Długo nie utrzymamy napięcia.

W tym momencie hazardzista poczuł jak wiele ryzykuje, jednak nigdy nie zwykł zmieniać raz podjętej decyzji. W końcu po drugiej stronie czekał nie lada skarb! Przyłgnął plecami do ściany, wziął głęboki oddech, po czym ruszył z kopyta w kierunku rtęciowej mazi.



## DWA

---

W kolejnym kroku trafił na coś okropnie śliskiego. W następnym też. Nim się zorientował co jest, tańczył na lodzie niczym pozbawiona talentu baletnica.

- Kurwa mać! – wrzasnął, machając rękoma, lecz było za późno.

Przed nim, jak z podziemi wyrosła grupka odzianych na czarno mężczyzn. Wpadł na nich z impetem.

- Ki czort... chuj jakiś... skurwysyn... - słyszał, gdy lądował na twardym asfalcie. Szybka w skafandrze zaparowała. Całkowicie stracił orientację.

Nagle czyjeś silne ręce wzięły go pod pachę, a potem rzuciły w nieznanym kierunku. Zdaje się, że uderzył o ścianę.

Pewnie byłby się od niej odbił i z powrotem runął na ziemię, lecz kilka wycelowanych w brzuch pięści przytrzymało go przy ścianie.

- Ograbić nas chciałeś, chujku jeden?

- Czekajcie! – ryknął, szybko ściągając hełm.

Zaraz po tym zakrzuszył się lodowatym i śmierdzącym niczym dym z ogniska powietrzem.

- Na co mamy czekać? – Ciemne, zarośnięte, wąsate twarze patrzyły na niego bezlitośnie, lecz ciosy na chwilę przestały spadać.

- Przez przypadek...

- Przypadek, ta! Musiał się zaccaić za winklem. Pewno, gdyby nie lód, byłby nas jakimś gnatem potraktował.

- Właśnie, przeszukać mi go – zakomenderował najstarszy z mężczyzn, pomarszczony, wysuszony dziad o śmierdzącym oddechu.

Tuzin rąk dopadł Śmiałka, rozrywając zamek w kombinezonie, obmacując go, wnikając do kieszeni.

- Ej! – krzyczał hazardzista, szamocząc się, szarpiąc i odgrażając. – Zostawcie!

Tylko ściągnął na siebie kolejne ciosy.

- Patrzcie, co to? – ryknął jeden z rewidujących. – Poświećcie!

Ktoś zapalił zapałkę, a potem następną.

- Złoto – skwitował najstarszy. – Rabuś ma pełno złota. Sprawdzić go dokładnie, od stóp do głów.

W ten sposób Śmiałek stracił wszystkie złote paski. Też z kamizelki, spodni, butów oraz skarpetek. Przez chwilę szarpał się, lecz silne uderzenia pozbawiły go woli. W pewnym momencie osunął się na ziemię i tracąc przytomność usłyszał tylko „Chodu”.

Obudził go ból. Wstał ostrożnie. Krew ciekła mu z ust, gdzie indziej zaschła na bolących ranach. Wszędzie miał otarcia i siniaki, ale generalnie był cały.

Dopiero teraz zobaczył, gdzie jest. Wąska, ciemna uliczka prowadziła wzdłuż familoków. Pojedyncza latarnia majaczyła kilkadziesiąt metrów dalej. W oknach czarno. Na ulicy żywego ducha. Zimna noc w pełni. Siarczysty mróz wprawił go w drgawki. Gęsty smog, wymieszany z mgłą ograniczały widoczność.



Nie umiał wziąć głębszego wdechu, by nie paliło go w gardle. Zakaszłał i zgiął się z powodu bólu w klatce piersiowej.

- Fortuna, kurwa mać – wyjęczał, ganiąc się w myślach za niezabranie jakiegoś cieplejszego okrycia wierzchniego. Nie sprawdzał historii pogody. Miał tu wpaść, szybko załatwić sprawę i wrócić pierwszym portalem. A teraz? Zabrali mu złoto! Podniósł z ziemi zakrwawiony kombinezom i rzucił nim o ścianę. Miał ochotę wyć, walić pięściami w cegły, lecz był na to wszystko za słaby. Zapewne usiadłby na ziemi i zapłakał, gdyby nie dwie rzeczy. Uciekający czas oraz jego osobowość.

- Dobra, kurwa. Nieudane rozdanie, zdarza się – dodał sobie animuszu.

Z wielkim trudem schylił się, by podnieść, a potem złożyć w kostkę skafander. Następnie wziął go pod pachę i ruszył w kierunku świecącej latarni. Powtarzał przy tym jak mantrę: „Pieniądze to nie wszystko. Dam radę bez złota. Pieniądze to nie wszystko.”

Po kwadransie był już na tyle rozgrzany, by podsumować swój stan fizyczny. Poza stratą dwóch zębów oraz licznymi siniakami, nic mu nie dolegało. Doszedł do skrzyżowania z jakąś aleją, na rogu którego stała drewniana buda z szyldem „Warzywa”. Wieńczył ją szeroki dach. Śmiałek z trudem wspiął się po metalowym okratowaniu, by wrzucić skafander na jego środek. Upewniwszy się, że jego bilet powrotny jest niewidoczny dla przechodniów, przeszedł do działania.

Sięgnął po mapę i zapamiętał miejsce ukrycia skafandra. Chciał sprawdzić, ile ma czasu, niestety, zegarek też mu zabrali. Zaklął, tym razem cicho, jakby z rezygnacją. Ile leżał na tym mrozie? Pewnie z godzinę. Musiał się spieszyć. Zapiął kurtkę pod samą szyję, schował zziębnięte ręce do kieszeni i ruszył. Cel był ledwie kilka przecznic od niego.

Po stu metrach usłyszał złowrogie „Stać”.

Odwrócił się nerwowo, pamiętając baty jakie dopiero co zebrał. Zobaczył kroczącego ku niemu mężczyznę w niebieskim mundurze. „Stróż prawa” – pomyślał z ulgą.

- Panie policjancie, dobry wieczór – powiedział przyjaźnie, skłaniając się lekko.

Gdy trzeba było, umiał przybrać wygląd niewinnej owieczki.

- To obywatel nie wie, że w naszym kraju mamy milicję? – rzucił szyderczo mundurowy.

Śmiałek zaklął w duchu. Doprawdy, nieustające pasmo sukcesów. Trzeba improwizować.

- Przejęczyłem się – powiedział struchlałym głosem. – To wszystko przez tych bandytów. Okradli mnie, pobili – dokończył niemal łkając.

- Ta? A to obywatel nie wie, że po godzinie milicyjnej łązić po ulicach nie wolno? Dokumenty! – ryknął stróż prawa. Wyciągnął pałkę i ostentacyjnie uderzał nią o wnętrze dłoni.

- Też ukradli. Do domu idę.

- Ach tak, ukradli. To powiedzcie w takim razie, obywatelu, gdzie mieszkanie?

Śmiałek zacisnął wargi. Po raz kolejny poczuł smak krwi w ustach. Nie miał przygotowanej odpowiedzi na te pytanie. Wyciągnął mapę? Bez sensu. Jeszcze ten ciul zacznie dociekać. Udawać amnezję? Jeszcze gorzej. Jedyne adres jaki znał, to miejsce ukrycia skarbu.

- Kopalniana czternaście przez dwanaście – powiedział wolno, próbując zamaskować zdenerwowanie.

- Jak to jest, że wszystkie największe męty są z Kopalnianej? Nazwisko!



Śmiałek, by zyskać chwilę, udał napad kaszlu, co wyszło nader autentycznie, gdyż czuł jakby lodowate igły wdzieraty mu do oskrzeli. Podać nazwisko człowieka, którego szukał? Czy może zmyśleć jakieś na poczekaniu? A może podać swoje, prawdziwe? Nie... jeszcze zostanie w jakiejś kartotece, a potem mu powiedzą, że jakiś przodek kiedyś... nie!

- Jestem Musiołek, Zygmunt. Pomoże pan władza w powrocie do domu? – spróbował, w duchu żałując, że nie ma już złota, przygotowanego na taką właśnie okazję.

- No co obywatel nie powie! – funkcjonariusz wyraźnie się ożywił. – Już ja obywatelowi pomogę, oczywiście! Szanowny pan Musiołek pójdzie ze mną.

Zaśmiał się, a następnie szybkim ruchem walnął Śmiałka pałką w brzuch, by chwilę później zręcznym ruchem założyć mu kajdanki na plecach.

Całkowicie zaskoczony, poobijany, zziębnięty Śmiałek leżał teraz na ziemi, nie rozumiejąc niczego. Usłyszał tylko górujący nad nim głos milicjanta mówiącego do krótkofalówki.

- Trzyście osiemdziesiąt pięć zgłasza się. Mam tu na Krętej podejrzanego. Proszę o furgon.





## TRZY

---

Tej nocy doświadczenie życiowe hazardzisty Śmiałka zostało wzbogacone o wrażenia z jazdy milicyjnym GAZ'em 69. Wrzucili go na pakę, jak worek kartofli, efektem czego były kolejne stłuczenia i rozcięty łuk brwiowy. Następnie empirycznie poznał na czym polegała mityczna siła białych, elastycznych pałek, które okręcały się na ciele, zostawiając podłużne sińce. Takich pamiątek otrzymał kilkanaście, zanim trafił do pokoju przesłuchań. Z początku wierzył, że pomyłka szybko wyjdzie na jaw i wróci na ulicę. Krwawiący, poobijany, ale wolny. W końcu nie zrobił niczego złego!

Milicjanci postarali się, by szybko pożałował choćby tej odrobiny optymizmu. Posadzili go na krześle, celując lampą prosto w oczy.

- Jak się obywatel nazywa? – mówiła szorstko pierwsza ciemna plama.

- Musiołek – odpierał, idąc w zaparte. W kłamstwie najważniejsza jest konsekwencja.

- A chuj, nie Musiołek – warknęła druga plama, podarowując mu cios w twarz. – Mojego dobrotliwego kolegę aspiranta mogłeś oszukać, ale ja tu jestem kurwa dzielnicowym! I znam ten element, Zygmunta. Gadaj więc gagatku, ktoś ty?

Śmiałek tylko jęknął przeciągle. Nie dość, że złapali go na kłamstwie, to pierwszy portal już na pewno odleciał. Która może być godzina? Jak długo będą go tu trzymać? Ogarnęło go przerażenie.

Milicjanci najpewniej dostrzeli je w jego oczach.

- Musiołek to wróg władzy ludowej – odparł aspirant, zapalając papierosa. Śmiałek dostrzegł błysk, a następnie poczuł dym. Zakaszał ciężko, a mundurowy ciągnął dalej. – Poszukiwany za kolportaż ulotek. Przyszaj, pewnie przeczytałeś o nim w kurierze wieczornym, co? Pewnie myślałeś, że ujdzie ci na sucho cinkciarstwo czy inne śmierdzące zajęcie, co?

- No, gadaj, jeśli chcesz stąd wyjść o własnych siłach – naciskał dzielnicowy, wciskając gumkę z ołówka w siniec na lewym policzku Śmiałka.

Ten jęknął ponownie, starając się przy tym wyglądać tak biednie, jak to tylko możliwe, co w danych okolicznościach nie było specjalnie trudne. Właśnie wyczuł językiem, że rusza mu się ząb. Napadły go mdłości i wymiotował na swoje kolana.

Milicjanci odsunęli się z odrazą.

- Idę po wiadro – burknął dzielnicowy.

- Będziesz mi tu burdel robił, co? – naskoczył na niego ten drugi, aspirant, ten który go aresztował.

Hazardzista uchylił się przed ciosem, który nie spadł. Siedział skulony i obrzygany. Myślał. Przy całej swojej skłonności do ryzyka nie widział szansy na ucieczkę. Czuł za to grozę pozostania w tym świecie. A przecież fortuna wreszcie zaczynała mu sprzyjać. Najpierw trafił na pokerku na tego faceta z telewizji. Tego, co znalazł papiery wartościowe i machał nimi w wiadomościach. Następnie pozwolił mu wygrać sporą sumkę, zyskując zaufanie. Potem dwuosobowa biba alkoholowa, jakże obfita w informacje! Po kilku głębszych Śmiałek wiedział już, gdzie były akcje i że było ich więcej, tylko strawił je pożar w okolicach sześćdziesiątego. Tak narodził się plan. A teraz? Gdzie jest jego szczęście? Zapłakałby, lecz jako zawodowy pokerzysta umiał powstrzymać nawet łzy.

Ktoś odsunął lampę. Chwilę później Śmiałek dostał lodowatą wodą z wiadra. To go otrzeźwiło.



Milicjanci śmiali się, a on, z trudem łapiąc oddech, rzucał w myślach monetą. Orzeł, idzie w zaparte i na litość. Reszka, zmienia front.

Wypadła reszka.

- Weź mu porządnie objij ryj, bo chyba mu mało – rozkazał dzielnicowy z wiadrem w rękę.

Śmiałek wyczekał aż aspirant uniesie pałkę, by w ostatniej chwili wychlipać żałośnie.

- Nie, nie! Ja już wszystko powiem. Jest tak, jak pan władza powiedział.

- Znaczy jak? – burknął dzielnicowy.

Miał ich.

- Tak jak pan aspirant powiedział. Mówi się, na dzielnicy, o Zbyszku – improwizował, w przerwach plując krwią. Zadbał też, by ręce mu drżały odpowiednio mocno.

- A dlaczego obywatel nie chciał się przyznać, jak się nazywa?

- Bo ja nie stąd – powiedział cienkim głosem.

- No to zaczynamy od początku. Imię, nazwisko, miejsce zameldowania.

Jak wróci do swoich czasów, to go jakoś poskładają. Nie ma co boleć nad urazami. Wymiana zębów to max godzinka. Sińce się zagoją. Byleby stąd jakoś wyjść. Musiał coś wymyśleć. Strzelił.

- Waldemar Pipka.

Mundurowi dosłownie poskładali się ze śmiechu.

- Słyszałeś, kurwa? – rżał dzielnicowy, skulony, z rękoma na kolanach.

- Cipka – parsknął aspirant.

Żarty z genitaliów zawsze bawią facetów, niezależnie od epoki.

- A z domu puszczańska? – ryknął aspirant.

- Z domu stateczna – odparł Śmiałek.

- Stateczna cipka! – parsknął dzielnicowy, po czym nagle spowaźniał i popatrzył poważnie na aresztanta. – Znam ja takich jak ty, obywatelu. Adres zameldowania w pierdziszewie dolnym albo i bez zameldowania. Nocuje po melinach. Słowem element.

- Ale Gienek, on dobrze ubrany jest – przerwał mu aspirant.

- Kurwa, cicho mi jak myśl składam – dzielnicowy pogroził mu palcem, a następnie posepnie spojrzął na więźnia. - Pewnie skądeś te galanterie ukradł. Ja sobie myślę, że to taki kpiarz. Ot taki, co go już na niejednym posterunku magłowali. Nie, panie Pipka?

- Tak, panie władzo – zgodził się uniżenie Śmiałek.

- Nasuwa się więc pytanie, co milicja obywatelska robi z takimi szumowinami?

- Przewidywana kara za włóczęgostwo to doba w areszcie – wyrecytował z regulaminu aspirant.

Śmiałek aż zesztyniał. Tak, umiał powstrzymać emocje, ale teraz, teraz! Teraz chodziło o coś zupełnie innego. Przecież w tym świecie nie ma nawet kasyn! Już miał paść na kolana, błagać,



obiecować złote góry, kłamać, przyznawać się, donosić, cokolwiek, kiedy nagle fortuna przypomniała o sobie.

- Trzeba być człowiekiem, towarzyszu – stwierdził dzielnicowy. - Przetrzymamy go do rana i wypuścimy. Pan Waldemar i tak już za dużo państwowego czasu zmitrężył.



## CZTERY

---

Śmiałek od dobrych kilku minut kręcił się po wąskim chodniku przy Kopalnianej. Z drugiej strony ulicy widział bramę z numerem czternaście. Liczył okna, próbując dojść, na którym piętrze jest mieszkanie Musiołka, numer dwanaście. Kamienica miała tylko trzy piętra i wyglądała nietęgo. Pokruszone cegły, szczerbate parapety z zielonej ceramiki, brudne okna z czerwonymi, osmolonymi framugami. Gęsty, czarny dym ciągnący gdzieś z dachu.

Faktycznie go wypuścili. Dostał z rana jakąś ciepłą breję, następnie pozwolili mu optukać twarz z zakrzepłej krwi i dosłownie wykopali z posterunku. Dziwni ci milicjanci. Później, już u siebie, zastanowił się nad tym wszystkim. Teraz najważniejszy był skarb i powrót. W takiej właśnie kolejności. Tylko jak się tam dostać? Włamać? W ogóle, która była godzina? Gdy wychodził z komendy, dojrzał na ściennym zegarze siódmą trzydzieści. Potem kwadrans truchtu na Kopalnianą, może dziesięć minut na miejscu. Na oko była ósma. Wywiedziało się w areszcie, że godzina milicyjna startuje o dwudziestą drugą. Wtedy mniej więcej przybył. Z szybkiej kalkulacji wynikało, że ma maksymalnie dwie godziny.

Właśnie przejechał obok niego autobus, z rury wydechowej wypluwając chmurę niebieskawych spalin. Śmiałek zakaszał głośno i zgiął się w pół. Czy w tym świecie wszystko musiało śmierdzieć i dusić? Pobity, wyziębiony. Czuł się jak wrak. Nieustające, kurwa, pasmo sukcesów.

Autobus zatrzymał się na pobliskim przystanku. Nie mógł dłużej tak stać! Wmieszał się w tłumek wysiadających, z nadzieją, że któryś z nich pójdzie pod czternastkę. Miał szczęście. W końcu!

Starszy jegomość podszedł do bramy, by jakby nigdy nic ją otworzyć. Żadnego zabezpieczenia, autoryzacji, klucza, nic. Po prostu ją otworzył! Idący dwa metry za nim Śmiałek nie mógł uwierzyć w szczęście. Odczekał dwie minuty, po czym sam wszedł do środka.

W holu śmierdziało zgnilizną i spalenizną. Gdy tylko wszedł, szczur przeleciał mu pod nogami i czmychnął pod schody, gdzie wałała się sterta jakiegoś zgniłego drewna i żelastwa. Pośród szpargałów dostrzegł łom.

- A więc fortuna na nowo mi sprzyja! – dodawał sobie otuchy.

Wyciągnął narzędzie ze sterty i czym prędzej schował je za pazuchę. Ruszył do góry drewnianymi schodami. Na pierwszym piętrze znalazł czworo drzwi. Na drugim podobnie. A więc jeszcze wyżej. Wreszcie stanął przed dwunastką. Ostrożnie nacisnął klamkę. A nóż będzie miał aż takiego fuksa? Niestety, zamknięte.

Wyciągnął łom. Już niezdarnie przypasowywał jego koniec do miejsca, gdzie widniał zamek, gdy nagle z drugiej strony usłyszał jakieś głosy. Ktoś tam był! Dotychczas, nie wiedząc czemu, był przekonany, że skoro Zygmunt Musiołek jest poszukiwany, to na pewno nie będzie go w domu. Ależ był głupi. Czym prędzej schował łom i odstąpił od drzwi. Wycofać się? Co to, to nie. Nie po to go tak sponiewierali. Nie po to stracił zęby, by teraz wracać z pustymi rękoma. Postanowił improwizować.

Poprawił ubiór. Przyliżał nieco włosy. Zapukał. Otworzyła mu kobieta w kuchennym fartuchu. Miała zmęczony wyraz twarzy, malujący się licznymi zmarszczkami.

– Słucham – rzuciła podejrzliwie.

- Ja od Zygmunta. Waldek jestem.

- Zbyszka nie ma.



- Wiem, ja właśnie w tej sprawie.

Chyba nie należała do strachliwych, bowiem wpuściła go do przedpokoju.

- O co chodzi? – zapytała niecierpliwie.

Śmiałek, dzięki milicjantom, co nieco wiedział o Musiołku. Postanowił to wykorzystać.

- Jestem przyjacielem. Wiem, że szuka go milicja.

- Też mi nowość – parsknęła.

- Ale ja wiem, dlaczego. Przez te ulotki – dodał.

- No i? - Przeszła z nogi na nogę.

- Zbychu mnie proszę, żebym wszystko zabrał. Ponoć nalot będzie.

Zawahła się. Miał jej uwagę.

- Ale tu nic nie ma.

- Jest, jest. W pokoju za piecem – stwierdził pewnie. – Muszę to wziąć, zanim przyjdą.

Po raz kolejny zlustrowała go od stóp do głowy. Musiał żałośnie wyglądać. Poobijany, zakrwawiony, obrzygany. Zapewne capił jak bezdomny. Musiał improwizować dalej.

- Przesłuchiwali mnie całą noc. Nic nie powiedziałem. Proszę. Nie ma czasu.

- Nie ma czasu. Nie ma czasu. Bo co? Boś ich za sobą przywólół? Podeszła do kuchennego okna i wyjrzała na ulicę.

Śmiałek zdał sobie sprawę, że to było logiczne. Mógł nie mówić o przesłuchaniu. Z drugiej strony, przecież oni znali adres Musiołka!

- Milicja zna pani adres. Nie potrzebują mnie, żeby tu trafić – powiedział stanowczo.

Zastąpiła zazdrokę, po czym wróciła do niego.

- No dobra, gdzie te ulotki? Przy piecu?

Przeszli do dużego pokoju. Omiótł wzorkiem graty, stolik z popielniczką pełną kipów, bez mała sześć krzeseł, kredens, maszynę do szycia. Brązowożółte kotary zaciągnięte. Półmrok. Podeszedł do stojącego w rogu pieca kaflowego, od którego bił gorący oraz duszący swąd. Z ulgą powitał ciepło. Dopiero teraz poczuł jak bardzo był zziębnięty. Na chwilę przyłożył dłonie do rozgrzanych kafli, uważnie rozglądając się dookoła. Z lewej strony zobaczył blaszane wiadro z szuflą, pełne węgla. Z prawej strony jakieś szmaty i płat blachy przylegający do ściany.

To musiało być tam. Czym prędzej wyszarpał blachę, podając ją kobiecie.

Ta spojrzała na niego podejrzliwie, ale posłusznie wyniosła ostonkę.

Ścianę pokrywał obdrapany tynk. Powiódł po nim ręką, szukając jakiejś wskazówki. Uszkodzenia. Śladu. Gdzie dokładnie jest ten schowek? Nie miał wyjścia, wyciągnął łom.

- Co mi pan tu – podniosła głos kobieta.

- Cicho, babo – syknął, unosząc narzędzie.



Musiła się przestraszyć, gdyż cofnęła się do drzwi. Obcy facet z zaciętą miną, wymachuje u niej w domu łomem.

- Spokojnie – powiedział, a chwilę później łupnął w ścianę. Tynk posypał się na ziemię.

Nie umiał się porządnie zamachnąć. Piec skutecznie utrudniał robotę.

Widząc jego niezdarność, jęknęła z przestraczem.

– Skrytka jest gdzieś tutaj – wytłumaczył. – Muszę rozwalić te cegły. - Niech pani idzie do kuchni i patrzy, czy nie idą.

Tym razem nie posłuchała. Stała i patrzyła co robi.

A on wpakował łom między cegły. Zaparł się o gorące kafle. Pociągnął. Nic. Spróbował z kolejną cegłą. Ta wreszcie drgnęła. Jeszcze jedna dobrze założona dźwignia i kobyła wyszła ze swojego miejsca. Czym prędzej usunął kolejne dwie. Wsadził rękę w dziurę. Między jedną, a drugą ścianą była przerwa! Poczuł przyptyw adrenaliny. Zaparł się i stopniowo wyłupywał kolejne kawałki muru. Gorący piec parzył, pot leciał mu z czoła, oddech w skrzelach świszczął. Jeszcze trochę, jeszcze moment i w końcu dostanie nagrodę! A może nic tam nie ma, a facet z telewizji zrobił go w konia, naopowiadał bzdur, by napić się na jego koszt? Niemożliwe!

- Rzuć ten łom! – krzyknęła kobieta, ze szpadlem w ręku.

Odwrócił się do niej bezkrotnie zdziwiony.

- Słyszysz? Wynoś się z domu, bo zawołam milicję! – wzięta zamach.

Więc tak to się ma skończyć? Zatłuczony szpadlem? – przemknęło mu przez myśl, lecz nie zdążył zareagować, bo na twarzy kobiety nagle zagościło zdziwienie. Patrzyła na wyrąbaną przez niego dziurę.

- A co to? Worek jakiś, czy co?

Faktycznie, z samego dołu wyrwy wystawał jakby kawałek materiału. Sięgnęła po niego. Tkwił mocno. Pociągnęli razem.

Wreszcie płaski, związany sznurem worek wyskoczył ze skrytki. Przycisnęła go do piersi, rzucając hazardziście zadziorne spojrzenie.

- Proszę mi to oddać – powiedział, wstając.

- To mój dom. To moje – odparła.

- Tam są ulotki! Muszę je zabrać!

Sam nie wierzył w to kłamstwo. Stali tak przez moment. Obydwoje z zaciętym wyrazem twarzy, obydwójce zdeterminowani. Jakby czekali na wystrzał pistoletu startowego. Wtedy zegar z kukułką wybił dziewiątą.

Kobieta nagle rzuca się do ucieczki. Niczym kocica wyskakuje w pokoju, a on czym prędzej rusza za nią.

Ona, widząc go tuż za sobą, przewraca wieszak stojący w przedpokoju. On dostaje w głowę, traci równowagę, lecz w ostatnim momencie chwyta ją za fartuch.

Ona zatrzymana, wierzga nogami i wrzeszczy „ratunku”. Rzuca w niego popielniczką, po czym skacze ku drzwiom. On odrzuca wieszak i w ostatnim momencie podstawia jej nogę.



Ona leci na framugę. On przestaje widzieć na jedno oko. Pcha ją z całych sił na ścianę.

Ona uderza głową o półkę, zatacza się i pada na podłogę. On wyrywa jej z rąk worek. Otwiera go. Wyszarpuje jeden z papierów. Na awersie zdobiony napis: „Königshütte – Inhaberaktie”. Poniemieckie papiery wartościowe, na okaziciela. Skarb.

Płacze. Nie dłużej niż minutę. Potem kradnie szaroburą kurkę i wybiega z mieszkania.



## PIĘĆ

---

Zaczął padać lepki śnieg, który w locie zabarwił się na szaro. Śmiałek właśnie dochodził do warzywniaka. Ręce miał złożone na piersiach, przyciskając schowane pod kurtką akcje.

Czy go śledzą? Czy właśnie minął go GAZ 69? Odwrócił się za autem. To faktycznie był milicyjny GAZ, ale na szczęście już skręcił i znikł mu z oczu.

- Popadam w paranoję. Już prawie koniec - wziął głęboki wdech, zakaszał głośno i po raz kolejny wziął się w garść.

\*

- Zero osiem sto piętnaście zgłasza się. Podejrzany opuścił Kopalnianą – potwierdził aspirant, wcześniej przesłuchujący Śmiałka na komisariacie.

Odłożył mikrofon z radia, po czym wykonał ostry nawrót.

\*

Co teraz? – burknął pod nosem Śmiałek.

W pierwszej chwili chciał zrzucić kurtkę, założyć skafander i tak czekać na transport powrotny. Zdał sobie jednak sprawę, że to nie był dobry pomysł. Tylko narobi sobie kłopotów. Tylko wzbudziłby niepotrzebne zainteresowanie. Jeszcze poczeka. Portal gdzieś za kwadrans, nie dłużej.

Wzdłuż ulicy stanęła biała Warszawa z napisem MO. Poczuł dreszcze. Rozgrzane walką mięśnie ostygły. Mróz znowu przenikał to szpiku kości. - To tylko zimno – tłumaczył sobie, nie dopuszczając do świadomości, że ma złe przeczucie.

\*

Pasażer na tylnej kanapie Warszawy, dzielnicowy odpowiedzialny za sprawę Musiołka, spoglądał przez zaparowaną szybę na Waldemara Pipkę kręcącego się przy starej budzie z warzywami.

- Może go zgarniemy? – zaproponował milicjant siedzący za kółkiem. Po stronie pasażera miał pistolet maszynowy PPSz-41, popularną pepeszę.

- Czekaj. Chodzi nam o Musiołka.

\*

Jak właściwie ma wyglądać portal powrotny? Po tamtej stronie była cała konstrukcja, agregat, istna metalowa brama. A tutaj? Czy miał wypatrywać tej rtęciowej mazi gdzieś na środku ulicy? A jeśli ją przeoczy?

Śnieg padał coraz mocniej. Śmiałek kulił się w sobie, co rusz spoglądając na wąską, brukowaną drogę między familokami. Drętwiały mu nogi. Nie czuł już palców. Coraz silniejszy wiatr rozwiewał poszarżate z sadzy płatki.

A może już teraz zakładać skafander? Jak zobaczy portal, może być za późno. Kurwa, choć raz mógł mieć jakiś plan.

\*

Aspirant zaparkował GAZa na końcu ulicy. Wtedy nadszedł meldunek radiowy.





- Do wszystkich jednostek biorących udział w akcji „Waldemar”. Przesłuchano żonę Musiołka. Podejrzany skradł jej pieniądze. Podejrzewamy, że ma je przekazać Zygmunтови. Poczekać na pojawienie się głównego podejrzanego. Jeśli trzeba, użyć środków przymusu bezpośredniego.

Aspirant sięgnął po radziecki pistolet TT i odbezpieczył go.

\*

- Pierdole! – Śmiałek stracił cierpliwość.

Wdrapał się po śliskiej, oblodzonej kracie na daszek. Z trudem, drżącą ręką sięgnął po kombinezon i kask. Schodząc, źle postawił stopę, padł na zaśnieżony trawnik.

- I co jeszcze! – warknął.

Nie bacząc na wścibskie spojrzenia pobliskich przechodniów, zrzucił z siebie kurtkę i włożył skafander. Hełm wziął pod pachę.

Warszawa MO zapaliła silnik. Na drugim krańcu ulicy dostrzegł kolejnego milicyjnego GAZa.

- Fortuno, nie opuszczaj mnie teraz – wymówił swoją najmocniejszą modlitwę.

\*

- Co on robi? – zapytał dzielnicowy, przecierając szybę w warszawie.

- To chyba jakiś kombinezon – rzucił kierowca.

- Czekaj, czekaj. Po co mu to, do cholery?

- Może to szambonurek? – zaśmiał się milicjant.

- Głębie ty – burknął dzielnicowy, lecz doznał olśnienia. – Dawaj no tu radio.

Przycisnął mikrofon do ust, po czym nadał komunikat.

- Do wszystkich jednostek. Podejrzewany zamierza uciekać kanałami. Powtarzam, zaraz zejdzcie do kanałów. Natychmiast zatrzymać!

\*

Jest! Widzi go! Tak jakby załamanie przestrzeni. Jakby krzywe lustro, tylko ruchome, falujące. Czym prędzej zakłada hełm. Kątem oka widzi milicjanta wysiadającego z GAZa. Z gnatem w ręce!

- Kurwa, kurwa! – Śmiałek rusza przed siebie, ku poświacie.

Gumowe buty kombinezonu skrzypiąc na zimnie i jeżdżą po lodzie niczym łyżwy.

\*

- Założył kask, chyba, znaczy hełm jakiś. Wychodzę – relacjonuje aspirant, a następnie wyskakuje z GAZa. Ma do podejrzanego z dobre sto metrów.

Oddaje strzał w powietrze.

\*

Strzał! Śmiałek usłyszał wystrzał!

Rozgląda się wokół. Jakiś milicjant biegnie ku niemu i strzela w powietrze.



Hazardzista bierze rozpęd i sunie jak na ślizgawce ku portalowi. Za sobą słyszy przeciągły jęk motoru.

\*

- No ruszaj, nie widzisz, że ucieka! – rozkazuje dzielnicowy.

- Daj mi to! – Sięga po pepeszę. Otwiera okno i wystawia przez nie lufę.

Warszawa wypluwa z rury siwy dym. Dwusuwowy silnik prycha coraz mocniej i rusza z charakterystycznym burczeniem.

\*

Widzi za sobą podłużną maskę Warszawy. Dostrzega dzielnicowego, wychylonego przez okno.

- Stój, bo strzelam! – słyszy.

Portal jest tuż, tuż, ledwie kilka metrów. Traci równowagę, ląduje na czworaka.

Może dzięki temu nie dochodzą go kule.

\*

Aspirant strzela nad głową podejrzanego. Ma zatrzymać, nie zabić, tak mówi rozkaz. Biegnie naprzeciw Waldemara Pipki.

Dziwne załamanie powietrza między nimi.

Wykrzykuje coś, lecz zagłusza go głośny ryk radiowozu, który sunie naprzeciwko. Między stróżami prawa, podejrzanym. Nie ucieknie! Mają go!

Po raz kolejny strzał w powietrze.

\*

Dzielnicowy łąduje z pepeszy. Celuje w nogi. Rannego też da się przestuchać.

Żle mu się strzela. Lodowate powietrze, lepki śnieg, wpadają mu do oczu. Pepesza oparta na drzwiach prycha krótkimi seriami z takim rozrzutem, że głowa mała.

\*

Coraz głośniejsze silniki. Coraz więcej strzałów. Śmiałek zamyka szybką hełmu. Już na nic nie chce patrzeć. Już niczego nie chce widzieć w pięćdziesiątym siódmym!

Dotyka ręką portalu. Ostatnim wysiłkiem skacze przed siebie. Portal dynamiczny, a nie jakieś statyczne gówno – wspomina słowa Macieja. – Popędzany przez radiowóz, rozpędzony na lodzie, chyba nie mógłby szybciej.

Nagle przesywający ból w tyłce! Nagle coś rozorało mu pośladek.

Wie. Rozumie. Postrzelony.

- Fortuno, ty dziwko bez szkoły! – krzyczy, lecz nikt go nie słyszy.

\*

Dzielnicowemu kończy się magazynek.

- Mam skurwysyna – triumfuje, widząc ślady krwi na ciele Pipki.



W jednej chwili Waldemar leci do przodu jakby miał paść. A w drugiej znika.

Kierowca milicyjnego wozu dębieje. Przejeżdża miejsce, gdzie jeszcze chwilę temu był podejrzany. Za późno naciska na hamulec. Taranuje biegnącego wprost na niego aspiranta.



## SZEŚĆ

---

- Byłoby szkoda, jakby nie wrócił? – powiedział mężczyzna o krzaczastych brwiach i eleganckich, choć brudnych butach.

Wpatrzony w diody migoczące na portalu, stał wraz z Pawłem, pomocnikiem Mistrza, w pozie pełnej wyczekiwania. Sam Maciej kręcił pokrętłami na pulpicie sterowniczym po drugiej stronie kabła napięciowego.

- Czy ja wiem, panie Gwizdoń? – ziewnął Maciej.

- Nie zależy panu na klientach? Przecież zarabiasz pan na nich.

Maciej oderwał na chwilę wzrok od pulpitu.

- Panie, weź się pan odfajkuj ode mnie – rzucił ostro. – Pan to co, te swoje haracze w komisji to za darmo chęć zbiera? Pasja taka, ludziom do dupy z kalkulatorem wchodzić?

Gwizdoń spojrzał wrogo, lecz nie zdążył poskładać riposty, gdyż w tym właśnie momencie portal zajarzył się feerią różnokolorowych barw.

Mistrz Maciej ochoczo strzelił szelkami.

- Pawełek, Gwizdoń, trzymcie materac! Chyba jednak leci!

Mężczyźni posłusznie dźwignęli i ustawili w pionie stary materac, lądowisko. Agregat prądotwórczy zacharczał, zatrząsnął się i wypluł z siebie chmurę siwego dymu.

- O! Przyziemnia – skwitował Maciej.

\*

Zimno. Łód. Noga się poślizgnęła, ból w pośladku i łydce, a potem kolejny krok, już w ciepłe. Przestrzelone mięśnie odmawiają współpracy. Przechyliła się głową do przodu i tak trafia... w coś zaskakująco miękkiego.

Ktoś pomógł mu zdjąć hełm. Światło oślepiło go na moment. Milicja? Wtedy zobaczył nad sobą pochylonego Mistrza, który śmiał się rubasznie.

- Panie Śmiałek, a jednak jest pan! Jak miło.

- On krwawi. Wołać karetkę? – zaniepokoił się Paweł.

Niemal jednocześnie Śmiałek i Gwizdoń krzyknęli.

- Żadnego pogotowania!

Wtedy dopiero Śmiałek go zobaczył. Surowe oblicze, karcące spojrzenie spod zarośniętych brwiami oczu. Znał je. Albert Gwizdoń, nadzorca z komisji gier i zakładów.

Gwizdoń, korzystając z efektu zaskoczenia, chwycił go za skafander, wyprostował i przycisnął do materaca. Zszokowany hazardzista nie oponował. Otrzeźwiało dopiero, gdy tamten zaczął rozpinać zamek jego skafandra.

- Ej! Zostaw – ryknął, próbując uderzyć nadzorcę. Nic z tego. Skafander skutecznie krępował mu ruchy.

- Zamknij ryj – burknął Albert, zabierając mu worek z akcjami.



Wtedy poczuł grozę. Finalne starcie. Ostatnie rozdanie. Cała pula na stole. Pełna wygrana na szali. Jedna karta w rozgrywce. Teraz albo nigdy. Śmiałek chciał go kopnąć, lecz gdy tylko oparł ciężar na postrzelonej nodze, przeszarżował przez niego niewyobrażalny ból.

- Macieju! – krzyknął, zanim zemdlał.

\*

Gdy kilka kwadransów później obudził się z kompresem na czole, siedział nad nim Paweł, z wyrazem współczucia na młodej twarzy.

- Moje papiery – wyjęczał hazardzista.

- Poszło w chuj, że tak powiem – usłyszał gromki głos mistrza Macieja.

Śmiałek bezwładnie opadł na poduszkę. A więc wszystko na nic? Cały ten wysiłek? Najpierw go obrabowali. Potem areszt na milicji i to przesłuchanie, zakończone cudownym uwolnieniem, które okazało się pułapką. Jednak cały czas wierzył, że fortuna nad nim czuwa, że tak naprawdę są to tylko trudności na drodze do wygranej. Gdy znalazł akcje w tej cuchnącej kamienicy, był już tego prawie pewien.

Mistrz przyniósł mu herbatę w szklance.

Śmiałek popatrzył na niego wrogo. Tamten sprzedał go tej gnidzie, Gwizdoniowi, to jasne! A więc o to chodziło w złym przeczuciu. O Macieja. O zdradę! Tego nie przewidział. Znowu osłabł. Zamknął oczy i opadł bezwładnie na poduszkę. Nie mógł znieść, że pokonał go jakiś technik informatyk.

- Panie Śmiałek, ja to pana lubię nawet – powiedział dobrotliwie Maciej, po czym położył mu coś na piersi.

Hazardzista z trudem uniósł się na łokciach, by zobaczyć papierową teczkę.

- Co to? – burknął, czym prędzej zaglądając do środka.

Ku jego zdziwieniu miał przed sobą plik papierów ze zdobionym napisem „Königshütte – Inhaberaktie”. Zaszumiało mu w głowie.

Maciej strzelił szelkami i uśmiechnął się szeroko.

- A bo ja nie umiem założyć kombinezonu?

- Ale Gwizdoń? – wydukał Śmiałek.

- Albercik z komisji wziął sobie falsyfikat – oznajmił telepiąc się ze śmiechu Maciej.

- Mistrz to ma głowę – zdumiał się Paweł. - Wziąć od Śmiałka za transfer, od komisji za podłożenie i jeszcze...

- I dwie trzecie akcji dla siebie, za wikt i opierunek, za chorym staranie. Technica poetica! – nie przestawał śmiać się Maciej.

- Ma mistrz głowę! – powtórzył Paweł.

- Ano. Gdzie dwóch się bije, tam głupio nie skorzystać – podsumował bezgranicznie rozbawiony technik.

Śmiałek już siedział i liczył pozostałe mu akcje. Czasami trzeba brać, co przynosi los.

